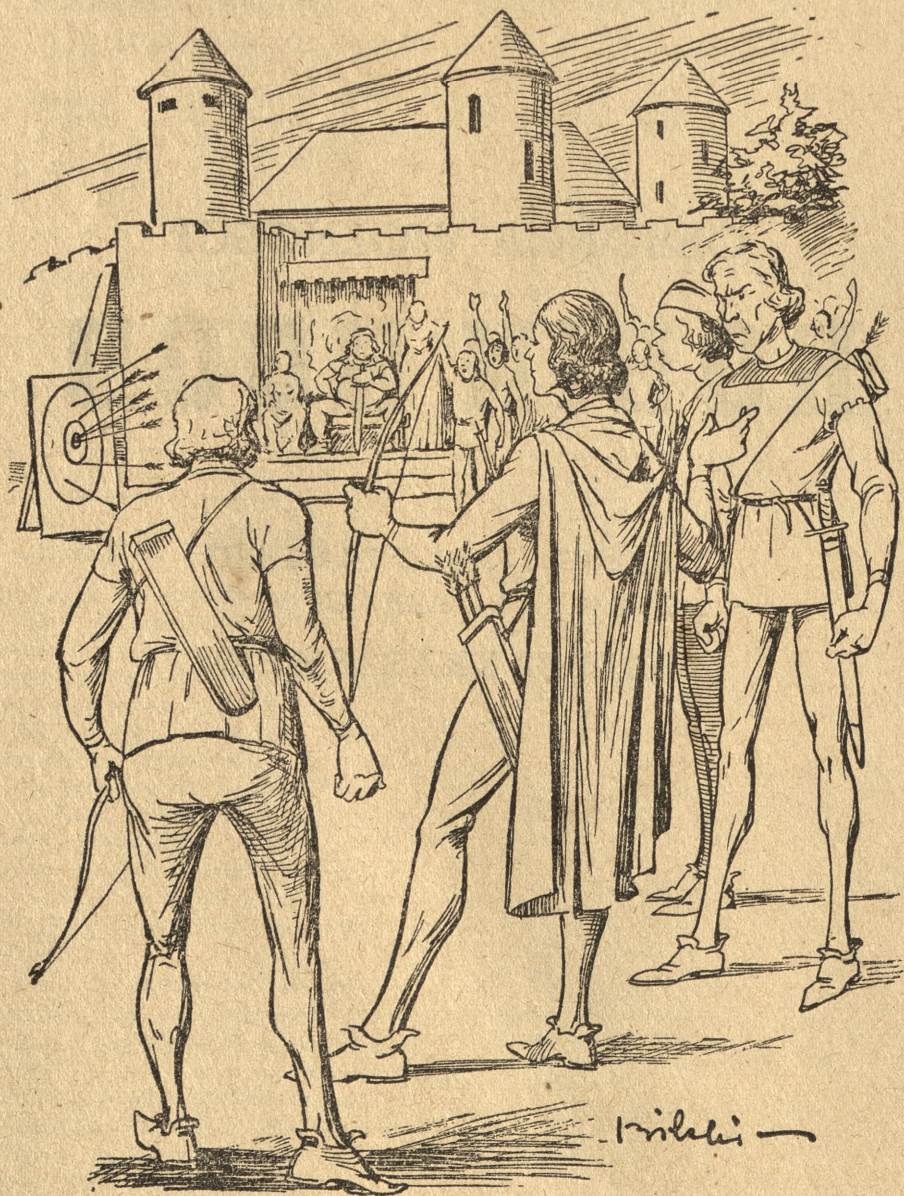


OBROŃCA WOLNOŚCI
ROBIN HOOD

WEDŁUG STARYCH LEGEND
I OPOWIEŚCI OPRACOWAŁ
TADEUSZ KRASZEWSKI



...A nim umilkły okrzyki zdumienia
trzecia strzala utkwila tuż tuż...

ROZDZIAŁ I,

w którym czytelnik poznaje zacne miasto Nottingham, jego szeryfa i inne znakomitości.

Gwarny i barwny tłum przelewał się ulicami miasta. Ósrodkiem ruchu był rynek, na którym liczni przekupnie rozłożyli swe kramy i stragany, pełne różnego towaru, od bochnów chleba i wędzonych mięsiv począcwszy, a kończąc na zwojach kolorowych materiałów i pękach metalowych błyskotek. Te ostatnie były przynętą przede wszystkim dla niewiast, które z zachwytem przyglądały się bogatym broszom, naszyjnikom i pierścieniom, targowały i przymierzały barwne chusty i szale, wstążki i staniki. Mężczyzn ciągnęły raczej kramy płatnerzy, gdzie wybrać można było miecz z hartowni stali, pancerz szmelcowany, czy hełm, czy inną część rycerskiego uzbrojenia. Lepsze to od babskich błyskotek i strojów: broń nieraz odda człowiekowi dobrą przysługę, szczególnie w tych czasach niespokojnych, gdy w lesie Sherwood rozmnożyły się mniejsze i większe bandy rozbójników, napadające nie tylko na wędrowców w głębi lasu, ale ośmielające się nachodzić wsie i obronne nawet dwory.

Od strony zamku szeryfa rozległy się dźwięki rogów. Tłum, nęcony tym wezwaniem, porzucał oglądanie towarów i płynął w tamtą stronę. Ludzie wiedzieli, że trębacze oznajmiają w ten sposób czyjeś zwycięstwo w igrzyskach rycerskich.

Na obszernym placu przed zamkiem zbierali się zawodnicy i widzowie. W rogu placu, pod zamkowym murem ustawione było niewielkie wzniesienie, pokryte suknem i dywanami, przeznaczone dla szeryfa i jego gości. Stąd wygodnie przyglądać się mogli zawodom.

Igrzyska trwały już od południa. Wielmoże pokrzepiali się miodem i piwem, roznoszonym przez pacholków, krytykowali zawodników, rozmawiali ze sobą, dowcipkowali i śmiali się głośno. Rej wodził gospodarz tej uroczystości, szeryf Nottingham, mężczyzna dużego wzrostu i okazałej tuszy, o szerokiej twarzy, okolonej rudawym zarostem. Wypity w większej ilości miód sycony uderzył mu już mocno do głowy. Nalana twarz zaczerwieniła się mocno, niewielkie, szybko biegające oczki ginęły niemal w zwojach tłustego ciała.

Szeryfowa Nottingham była fizycznym przeciwieństwem małżonka. Drobna, szczupła, niemal chuda, siedziała milcząco i prawie nieruchomo na ławie, okrytej futrem niedźwiedzim. Jej pociągła, śniada twarz, o ostrych rysach, wąskich, zaciśniętych ustach i bezręsnych zielonkawych oczach, nie zdradzała żadnego zainteresowania rozgrywającymi się przed nią zawodami. Siedziała tu wyraźnie tylko dlatego, aby z obowiązku gościnności dotrzymać towarzystwa hrabinie

Grisborne, która koniecznie widzieć chciała igrzyska. Hrabina, znacznie młodsza od szeryfowej, najchętniej stanęłaby sama na placu aby pokazać swą sprawność w robieniu mieczem, czy w rzucaniu toporem. Taki występ wywołałby jednak zgorszenie publiczne. Musiała poprzestać na śledzeniu zawodów ze wzniesienia i mogła co najwyżej zachęcać otaczających ją mężczyzn, aby zamiast pić i dowcipkować dali na placu dowód siły i zręczności.

Udało jej się skłonić szeryfa, aby poszczycił się publicznie umiejętnością rzucania ciężkim toporem. Jej mąż, hrabia Gisborne, namówiony przez żonę stanął do starcia na miecze z baronem Herford. Te występy wielmożów dodały blasku zawodom i były bardzo radośnie przyjęte przez tłum, nie wykazały jednak ani wybitnej sztuki, ani nadzwyczajnej sprawności uczestników.

Hrabina Gisborne wyduła pogardliwie wargi, patrząc jak jej małżonek, otyłością niewiele ustępujący szeryfowi, niezręcznie macha mieczem, bioniąc się przed atakami barona, który nacierał podskakując zabawnie na pałkowatych nogach.

— Oby nie zrobili sobie jakiej krzywdy — szepnął jej ironicznie stary sir Szymon Lee.

Hrabina parsknęła śmiechem.

— Żadnemu z tych rycerzy nie dałabym laurowego wieńca — odpowiedziała.

Szeryfowa odwróciła ku niej powoli głowę. Nie powiedziała nic, ale wzrok wyrażał wymowne zgorszenie. Było przecież bardzo nie na miejscu, że hrabina wyrażała się w ten sposób o rycerzach, z których jeden był jej mężem. „Oto skutki“ — pomyślała sobie najpewniej szeryfowa — „gdy stary mąż zbyt pobłaża młodej i lekkomyślnej żonie“.

— Niestety, idzie u nas w zaniedbanie rycerska sztuka starych Normanów — mówił już poważnie sir Szymon. — Gnuśniejemy i niewieściejemy w dobrobycie. Oby nie zemdliło się to zaniedbanie.

Hrabina spojrzała na niego uważnie.

— Cóż nam grozi tutaj? Chyba nie ze strony Sasów, którzy schłopieli zupełnie i nie potrafią używać topora tylko do rąbania drzewa, a miecza... chyba zamiast rożna.

— Nie jestem tego tak bardzo pewny, hrabino. Wśród dzisiejszych zawodników są nie tylko normańscy rycerze. Sasi nie mają tak dobrej broni, jak nasi, ale umieją nią wywijać nieraz wcale nieźle.

Nowe sygnały rogów przerwały im rozmowę. Szeryf Nottingham dał znak, że rozpoczyna się najważniejsza część zawodów: strzelanie z łuków.

Na jednym krańcu placu ustawiono drewnianą tarczę, na środku której oznaczone było węglem niewielkie czarne kółko, a dokoła niego krąg o średnicy dłoni. Dla zawodników wyznaczono miejsce w odległości stu kroków, odmierzonych przez wysokiego rycerza.

Szeryf wystąpił na front wzniesienia i ogłosił uroczyste warunki zawodów. Każdy zawodnik, który zgłosi się z własnym łukiem i strzałami, zostanie wpisany na listę przez pisarza. Zawodnicy oddawać będą kolejno po trzy strzały do tarczy. Zwycięzca otrzyma nagrodę, ufundowaną przez jaśnie oświeconą hrabinę Gisborne — piękną broszę w kształcie strzały, kunsztownie wyrobioną w srebrze. Gdyby zwycięstwo nie było całkowicie zdecydowane, pomiędzy najlepszymi zawodnikami odbędzie się dodatkowa rozgrywka. Ten, kto najwięcej strzał ulokuje w środku tarczy, zostanie zwycięzcą.

Znów zagrały rogi i pierwsi zawodnicy stanęli na mecie. Furcząc ostro w po-

wietrze leciały z napiętych łuków strzały w kierunku tarczy. Tłum z zainteresowaniem przyglądał się zawodom, goniąc oczami każdą strzałę.

Jako pierwszy na czoło zawodników wysunął się Will Chudy, dziesiętnik w straży przybocznej szeryfa, który uchodził za jednego z najlepszych łuczników w Nottingham. Jedna jego strzała utkwiała w samym niemal środku czarnego koła, a dwie następne — tuż przy tym kole. Teraz stał i patrzył trochę pogardliwie na wysiłki współzawodników, nie szczędząc im złośliwych docinków.

— Chyba chodziłeś na lekcje do niedźwiedzi, John — śmiał się ze swego kolegi. — To niedźwiedź nauczył cię tak zgrabnie trzymać łuk.

— Poproś strzały, aby leciała celnie — kpił z innego — może będzie równie posłuszna jak twoja czarna Małgorzata.

Wykpieni, złym wzrokiem spoglądali na Willa, życząc mu w duchu, aby znalazł się lepszy od niego zawodnik, odebrał mu zwycięstwo i ukarał w ten sposób jego zarozumiałstwo.

Jakoż wkrótce łucznik z orszaku barona Herford dwoma strzałami trafił w czarne koło. Co prawda trzecia utkwiała na samym kraju dużego kręgu, tym niemniej szansę Chudego były poważnie zachwiane.

— W ostatecznej rozgrywce okaże się, kto jest lepszy — chętnie ogłosił Will. Tym niemniej stracił trochę na wigorze i nie kpił już z dalszych zawodników.

Jako trzeci wysunął się do czołowej grupy Ben Piekarz. Jego wynik, podobny zupełnie do wyniku Willa, został z okrzykami radości przyjęty przez mieszczan. Wszyscy bowiem znali tajemnicę jego zręczności w strzelaniu. Kochał on Elżbietę, córkę swojego majstra, a ta patrzyła przychylnie tylko na rycerzy. „Jeśli zwyciężysz w zawodach łuczniczych — powiedziała mu — może zacząć patrzeć na ciebie łaskawie“. Więc Ben ćwiczył się od kilku miesięcy w strzelaniu i teraz zbierał owoce wytrwałości i pracy.

Zawody miały się ku końcowi i zdawało się, że rozgrywka zadecyduje o zwycięstwie jednego z trzech najlepszych łuczników. Pisarz wywołał imię ostatniego zawodnika.

Na metę wyszedł młody, może osiemnastoletni chłopak, w skromnym, zakurzonym ubraniu.

— Daj spokój chłopcze. Szkoda czasu na twoje wysiłki. Przystąpmy leniej do rozgrywki — zawołał Will, odpychając chłopca, chciał zająć jego miejsce na mecie.

Ale chłopak hardo wstrząsnął głową.

— Szeryf powiedział, że każdy ma prawo wystrzelić trzy strzały — powiedział spokojnie, lecz stanowczo.

— Po co próżno pruć powietrze! — upierał się podrażniony Will i ujął swój łuk.

— Hej, Will, boisz się zawodnika? — zakpił któryś ze strażników.

— Tego szczeniaka! — wybuchnął głośnym śmiechem.

— Każdy ma prawo strzelać! — odezwały się głosy.

— Czemu się tam grzebiecie? — zawołał szeryf z trybuny.

— Jakiś włóczęga pcha się do zawodów — odpowiedział Will.

— Usuncie go i przystąpcie do rozgrywki — rozkazał szeryf.

— Dlaczego szeryfie Nottingham? — spytała nagle hrabina Gisborne — Przecież każdy ma prawo próbować swych sił. Takie było twoje słowo.

— Skoro sobie tego życzysz, hrabino, niech próbuje. Byle prędzej, bo czas kończyć zawody. Hej, — zawołał drwiąco do swych strażników, którzy już odsunęli chłopca z mety — pozwólcie strzelać temu znakomitemu rycerzowi.

Młody nieznajomy, który widząc, że siłą nie dociśnie się do zawodów, bez oporu dał się odsunąć strażnikom, stanął znów na stanowisku. Przez chwilę stał nieruchomo, aby opanować wzburzenie, jakim — mimo pozorów spokoju — przejęło go lekceważące traktowanie. Wiedział, że całkowity spokój potrzebny jest przy mierzeniu. Wyciągnął lewą rękę z łukiem i spróbował, czy cięciwa jest należyście napięta. Spokojnie wyciągnął z kołczana, zawieszoną przy pasie, pierzastą strzałę i oparł ją na cięciwie.

Gdyby chłopiec spokojnie dopuszczony został do zawodów, nikt zapewne nie zwróciłby uwagi na tego skromnego, niepokaźnego strzelca. Dzięki awanturnie, urządzonej przez Willa, teraz wszystkie spojrzenia kierowały się na nieznajomego zawodnika. Mimo niepozornego, ubożego niemal stroju, mimo skromnego, ustępliwego zachowania, było w jego wyglądzie i w postawie coś, co budziło sympatię i szacunek.

Odrzucił kaptur z głowy na plecy i ciemne blond włosy rozsypały się w bujnych kędziorach nad wysoko sklepionym czołem. Szare o stalowym połysku oczy z uwagą patrzyły w cel. Pod fałdami podniszczonego ubrania spreżyły się mięśnie nóg, mocno wpartych w ziemię i mięśnie rąk, trzymających łuk.

Furknęła strzała.

— A-a-a-a! — niby westchnienie, niby okrzyk podziwu przeleciało przez tłum.

Chwiejąc się jeszcze lekko, strzała tkwiła w samym środku czarnej plamy na tarczy.

— Ślepa kura też czasem trafi w ziarno! — zawołał ze złością Will Chudy.

A nieznajomy chłopiec już po raz drugi napiął łuk i za chwilę druga strzała, mrużąc cichą melodię, leciała ku czarnej plamie celu.

— A-a-a-a! — rozległo się już głośniejsze, a Will nie podniósł teraz głosu.

Druga strzała tkwiła mocno tuż obok swej poprzedniczki. A nim umilkły okrzyki zdumienia, do dwóch pierwszych dołączyła się i utkwiała tuż, tuż trzecia strzała wypuszczona pewną ręką młodego strzelca.

Wiwat! Wygrał!

— Nie potrzeba rozgrywki!

— Niech żyje zwycięzca!

Tłum rzucił się do młodego łucznika, wiwatując na jego cześć. Ścisniano go i wieszano. Wreszcie kilku mężczyzn porwało go na ręce i niosło w stronę wzniesienia, na którym zasiadali znakomici rycerze.

Hrabina Gisborne podeszła na skraj podium i, gdy zwycięzca stanął przed nią, podała mu piękną rzeźbioną w srebrze broszę w kształcie strzały.

— Jesteś świetnym łucznikiem — powiedziała przyjaźnie, uśmiechając się do niego. — Jak ci na imię, młodzieńcze?

Chłopiec podniósł oczy na pochylającą się ku niemu damę. Uśmiechem odpowiedział na jej uśmiech. A wtedy hrabina pomyślała, że jest on nie tylko dzielnym łucznikiem, ale bardzo przystojnym i pełnym młodzieńczego wdzięku mężczyzną.

— Moje imię niewiele wam powie, pani. Nie jest ono sławne, ale mam nadzieję, że będzie kiedyś sławne. Nazywam się Robin Hood.

w którym dochodzi do lekkiej awantury pomiędzy zwycięzcą
zawodów łuczniczych a żołnierzem szeryfa.

Wieczorem, po igrzyskach, szeryf Nottingham wydawał ucztę na cześć znakomitych gości, którzy zjechali do niego na tę uroczystość. Gęsto krążyły pułchary, służba obnosiła bez przerwy misy z mięsiwem i innymi potrawami. Goście gadali głośno, dowcipkowali i kłócili się, śmiali i śpiewali.

— Czy zwycięzca w zawodach łuczniczych jest rzeczywiście nikomu tutaj nieznanym? — spytała hrabina Gisborne siedzącego obok niej szeryfa. — Mój mąż pragnąłby zaciągnąć go do swej drużyny.

— Nie jest on mieszkańcem Nottingham — odpowiedział szeryf — bo z pewnością słyszałbym już o takim łuczniku. A nie sądzę, aby był rycerzem z pobliskiej okolicy. Posłałem jednego z moich ludzi, aby się czegoś o nim dowiedział. Pewnie to ktoś z okolicznych chłopów, może jakiś Sas, którego rodzina straciła swój dwór po wojnie. Nie zdaje mi się, aby chciał nam służyć. Oni wolą biedować i głodować. Dmą się i puszą swą dawną znakomitością. Służbę w straży uważają za niewolę.

— Szkoda! — westchnęła hrabina. — Mój mąż bardzo ceni dobrych łuczników.

Szeryf spojrział na nią spod oka, jakby coś chciał powiedzieć, ale powstrzymał się i spytał tylko, czy pozwoli, aby wybrał dla niej brzoskwinie z kosza podanego przez pacholka.

Tymczasem młodzieniec, który był tematem rozmowy przy biesiadnym stole, szedł, rozglądając się dookoła ulicami miasta Nottingham.

Po zakończeniu zawodów otoczyło go kilku mieszczan i, wyrażając swe uznanie dla jego zręczności, zaprowadziło go gospody na poczęstunek. Robin nie mógł się wymówić od tej ich gościnności. Zresztą głodny był porządnie, a jego towarzysz i kuzyn, Ryszard Partridge, który miał przy sobie węzełek z zabraną z domu żywnością, zagubił się gdzieś w tłumie.

Zjadł więc ze smakiem spory kawał pieczonego mięsa, zagryzł pajdą smacznego chleba i zapił szklanką miodu. Gościnni mieszczanie chcieli go jeszcze raczyć piwem, którego sobie sami nie żalowali, ale Robin wymawiał się stanowczo. Nie był przyzwyczajony do nadużywania oszałamiających napojów i bał się, że upije się szybko. Przysłuchiwał się rozmowie swych amfitrionów, sam niewielki biorąc w niej udział, bo jako młody jeszcze człowiek czuł się onieśmielony towarzystwem poważnych ludzi, traktujących go z szacunkiem i powagą.

Nagle do stołu, przy którym siedzieli, podszedł żołnierz, ubrany w ciemnozielony kaftan, jaki nosili wszyscy ludzie w oddziale szeryfa Nottingham.

— Udało ci się dzisiaj, młodzieńcze — rzekł, klepiąc Robina po ramieniu.

— Czyżby? — zapytał Robin Hood wyzywająco, podrażniony protekcyjnym tonem żołdaka.

— Miałeś szczęście, że nie doszło do drugiej rozgrywki. Chudy Will jest pewnym i niezawodnym strzelcem. Przy większej ilości strzałów pobiliby cię na kwaśne jabłko.

Robin Hood zagryzł wargi i nic nie odpowiedział.

— Ale trzeba przyznać, że oko masz całkiem niezłe. Podobałeś się bardzo

naszemu staremu i gdybym mu tylko szepnął słówko, przyjąłby cię do swojej straży. A to jest wcale niezłe życie, powiadam ci, chłopcze. Wykierowalibyśmy cię rychło na ludzi.

— Nie mam zamiaru zaciągać się do żadnej służby, a najmniej do służby szeryfa Nottingham — odpowiedział Robin, poirytowany już na dobre.

— A czemu to, jeśli wolno wiedzieć, smyku, nie podoba ci się specjalnie służba u szeryfa Nottingham. Ha! Czemu nie odpowiadasz?

Ton żołnierza stawał się coraz bardziej zaczepny. Wydawało się, że radby on wciągnąć Robina w jakąś awanturę. Młodzieniec panował jeszcze nad sobą, ale cierpliwość mogła się lada chwila skończyć. Wciągnął szybko nozdrzami powietrze, a oczy rzucały niebezpieczne błyski.

Ale żołdak nie zwracał na to uwagi.

— Odpowiadaj, chłopcze — wykrzyknął — żebym nie potrzebował zmuszać cię do odpowiedzi.

Towarzysze Robina byli również podrażnieni. Ale cierpliwość chłopca już się skończyła. Zerwał się i powiedział głośno:

— Odpowiem, jeśli ci tak zależy na odpowiedzi. Nie chcę służyć szeryfowi Nottingham, ponieważ nie podoba mi się jego gruby, czerwony pysk i jego rude kiaki. Powiedz to swemu panu, głupi capie!

Żołdak na chwilę stracił głowę.

— Co?! Co?! Coś ty powiedział? — bąkał.

Przyskoczył do Robina i z całej siły wymierzył cios pięścią prosto w jego twarz. Ale w tej chwili stało się coś, co odebrało mowę również pocziwym mieszczanom, goszczącym Robina Hooda. Ten błyskawicznym ruchem schylił głowę, tak że rozpędzona pięść przeleciała nad nim, żołnierz potoczył się naprzód i nadział się całą siłą na uderzenie głową Robina w jego brzuch. Jęknął, zwinął się w pól i całym ciężarem ciała runął na podłogę.

Robin wyprostował się spokojnie.

— Myślę — powiedział do swych gospodarzy — że będę musiał stąd wyjść. Nie chcę stawać się powodem awantury.

Zebrał spokojnie łuk i kołczan, leżące obok na ławie i przekroczywszy rozciągniętego na podłodze obfitego żołnierza, poszedł wolno do drzwi.

Nikt go nie zatrzymywał, chociaż kilku strażników siedziało przy sąsiednich stołach. Po pierwsze nie orientowali się zupełnie dobrze, o co chodzi, a po wtóre nie chcieli narażać się na niebezpieczną walkę w obronie nielubianego towarzysza.

Znalazłszy się na ulicy Robin przyspieszył kroku. Zdawał sobie sprawę, że wdawanie się w walkę z żołnierzami to niebezpieczna historia. Nie tylko dlatego, że zwyciężą go liczebną przewagą, ale też z obawy przed aresztowaniem i uwięzieniem za wszczynanie bójki. Niepochlebna opinia, wypowiedziana na temat szeryfa, nie przyczyni się również z pewnością do poprawy jego sytuacji.

Raz i drugi skręcał w wąskie uliczki, aby zmylić ślad na wypadek pogoni.

— Ale co począć dalej? — pomyślał.

Najpierw chciał wydostać się z miasta i przenocować w pierwszej napotkanej wiosce. Ale doszedłszy do bramy miejskiej przekonał się, że jest już ona zamknięta. Mrok zapadł. Trzeba coprędzej poszukać noclegu, bo niedługo strażę zaczną krążyć po ulicach i zbiorą zapóźnionego przechodnia do aresztu za włóczęgostwo. Skręcił znów w boczną uliczkę i zderzył się przy tym gwałtownie z jakimś człowiekiem.

